

Joyce Girl

A N N A B E L A B B S

Joyce Girl

Pasja i upadek

Literacka opowieść o córce Jamesa Joyce'a

Przełożyła Małgorzata Kafel

MANDO 

Originally published under the title *The Joyce Girl*

© Annabel Abbs 2016

All rights reserved

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2019

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Jennifer Burbridge/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2228-7

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk: Drukarnia Wydawnicza • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Igepa Creamy 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Igepa Polska Sp. z o.o.

Mojemu mężowi,
Matthew

Istnieją grzechy lub (nazwijmy je tak, jak je świat nazywa)
złe wspomnienia, które człowiek ukrywa w najciemniejszych
zakątkach swego serca, lecz żyją one tam i czekają.

James Joyce, *Ulysses* (1922)
przeł. M. Słomczyński

Wrzesień 1934
Küsnacht, Zurych

Stoję na pokładzie i patrzę na ciągnące się po wodzie wstęgi białej piany. Zurych znika na horyzoncie, a ja czekam, aż przede mną pojawi się Küsnacht. Z drzew na brzegach jeziora opadają poskręcane liście. W powietrzu daje się wyczuć jakieś drżenie, nad wodą unosi się słaba woń rozkładu.

Moje wizyty w jego kwadratowym domu trwają od ponad dwudziestu dni. Trzy razy w tygodniu płynę promem do Küsnacht, żeby posiedzieć z nim w jego gabinecie. I jak dotąd nic nie powiedziałam. Dziś jednak czuję, że coś się we mnie budzi, milczenie zaczyna mi ciążyć.

Jezioro jest zalane jesiennym słońcem. Przy burcie promu miotają się beładnie maleńkie rybki, błyskając roziskrzonymi łuskami niczym spadające gwiazdy. Patrzę na nie i czuję, jak coś przenika podeszwy moich stóp, wypełnia moje kostki, potem łydki. Sunie w górę po plecach. Moje biodra zaczynają się kołysać, palce wystukują rytm na poręczy. Jakby to nijakie, pospolite ciało znowu zapragnęło stać się obiektem zachwyty.

Dzisiaj będę mówić. Odpowiem na jego natrętne pytania. I powiem mu, że znowu muszę zacząć tańczyć. Muszę tańczyć...

Doktor Jung łączy opuszki palców obu dłoni na wysokości ust, muskając nimi starannie przycięty wąs.

– Do osiemnastego roku życia dzieliła pani sypialnię z ojcem. W jaki sposób zmieniała pani ubranie? – Jego oczy są jak małe kręgi światła, które nie opuszczają mojej twarzy.

– Spałam w ubraniu. – Poruszam się z zakłopotaniem, wiedząc, jakie będą kolejne pytania. Mam ich dość. I jestem zmęczona.

– Dlaczego się pani nie rozbierała? – Jego słowa zawisają w powietrzu. Okrywam się ciasniej futrem z norek. Gdy przyszłam, gorliwa pokojówka chciała mi je odebrać. Zapewniała, że w gabinecie doktora jest ciepło, że sama napaliła w piecu.

– Szczury nie przebierają się do snu, prawda?

– Szczury? – Doktor Jung odsuwa od biurka obrotowy fotel i zaczyna chodzić po gabinecie. – Cieszę się, że nareszcie zdecydowała się pani zacząć ze mną rozmawiać, ale musi to pani wyjaśnić, panno Joyce.

– Mieszkaliśmy w setkach miejsc... w pokojach... w mieszkaniach. We Włoszech, w Szwajcarii, w Paryżu. – Czuję, że drętwieją mi usta, jakby już miały dość tego gadania, odpowiadania na niekończące się pytania doktora. Przesuwam szybko językiem po górnej wardze i zmuszam się, by mówić dalej. – Dzięki pieniądzą od bogatych mecenasów ojca mogliśmy się przenieść na Square de Robiac. Wcześniej mój brat Giorgio nazywał nas migrującymi szczurami.

– A pani ojciec nazywał to wygnaniem. – Doktor Jung się pochyla. Jego twarz jest teraz na wysokości mojej. Zastanawiam się, czy może zobaczyć panującą w mojej duszy pustkę, czy widzi, że zostałam zdradzona i ograbiona.

– Proszę mi opowiedzieć o *Ulisiesie*. Przyznam, że zasnąłem podczas lektury. – Wraca za biurko i ostrożnie sadowi się z powrotem

w fotelu. Zapisuje coś w notatniku, po czym kieruje spojrzenie z powrotem na mnie. – Książka zakazana, uznana za obsceniczną. Jak pani się czuła jako córka człowieka szerzącego pornografię?

Na zewnątrz słońce chowa się za chmurą.

– *Ulisses*... – powtarzam, szukając w swoim udręczonym mózgu wspomnień i wskazówek. Gruby niebieski grzbiet... złote litery... mama wyrywająca mi książkę. – Matka mi go odebrała, gdy zobaczyła, co mam w ręku. Powiedziała, że ojciec ma brudne myśli i że mogę to przeczytać dopiero, kiedy będę mężatką. Mężatką! – Śmieję się gorzko.

– Więc przeczytała to pani?

– Oczywiście. To najwspanialsza książka, jaką kiedykolwiek napisano. – Nie przyznaję się, że i mnie znużyła fabuła, a dziwne, nieprzeniknione postacie wymykały mi się i w końcu nie dotarłam do tych „brudnych” fragmentów, o których wszyscy mówili. Zamiast tego zadaję dręczące mnie od lat pytanie o *babbo*: – Doktorze, czy mój ojciec naprawdę jest zboczonym szaleńcem?

Doktor Jung przygląda mi się zza okularów w złotej oprawie. Otwiera szeroko oczy, głośno wypuszcza nosem powietrze. Zapada długie milczenie. Psychiatra kiwa delikatnie głową, jakby oczekiwał, że powiem coś jeszcze.

– Dlaczego pani o to pyta, panno Joyce?

Owijam się futrem tak mocno, że brakuje mi tchu.

– Tak napisano w gazecie. Ojca nazwano zboczonym szaleńcem, a *Ulissesa* najbardziej obsceniczną książką w historii literatury. – Mówiąc to, mam wrażenie, że mój głos oddziela się od ciała i uwalnia, jakby słowa nie miały ze mną nic wspólnego.

– Jak pani sądzi, dlaczego ojciec postanowił ożenić się z pokojówką? – Doktor pochyla się nad biurkiem i podnosi okulary na czoło, by ponownie zlustrować mnie wzrokiem.

– Nie lubi inteligentnych kobiet. Tak kiedyś powiedział. – Nie mówię mu, że doskonale wiem, dlaczego mój ojciec ożenił się z pokojówką. Są rzeczy, których się nie mówi. Nie grubemu Szwajcarowi z kieszonkowym zegarkiem, któremu płaci się od godziny jak zwykłej prostytutce. Nikomu.

Doktor Jung kiwa głową i przygryza w zamyśleniu kciuk, nie przestając mi się przyglądać. Przewierca mnie wzrokiem, jakby chciał zajrzeć do mojej duszy. Potem bierze do ręki pióro i skrobąc stalówką, zapisuje coś w notatniku. Gładzę futro dłonią. Jego miękkość wydaje mi się krzepiąca jak zwinięty na kolanach pies. Twarz mamy, podobnie jak cała postać, zaciera się – jej brwi przywodzące na myśl pióra wrony, wąskie usta, policzki pokryte meszkiem i siateczką popękanych naczynek.

– Nie chcę już o niej mówić. To ona mi to zrobiła. – Stukam trzykrotnie palcem wskazującym w skroń.

Przerywa notowanie i marszczy czoło. Trwa to tak długo, że mięśnie wokół jego oczu zaczynają drgać.

– Proszę mi opowiedzieć o relacji z ojcem z czasów, zanim zamieszkaliście w tym samym pokoju.

– Ciągłe pisał. Prawie ze mną nie rozmawiał, dopóki *Ulisses* nie został ukończony. – Spuszczam wzrok. Patrzę na swoje nowe buty z najdelikatniejszej włoskiej skóry i zdaję sobie sprawę, że podkurczam palce u nóg. Nie ma potrzeby mówić więcej. Jeszcze nie...

– Musiała pani rywalizować o jego czas z mnóstwem osób, prawdziwych i wyimaginowanych. – Oczy doktora Junga przypominają teraz małe wiatraczki wwiercające się w moją głowę.

– Tak przypuszczam. – Przeczesałem palcami włosie futra, rozplątuję je i stawiam na sztorc. Myślę o swoim zachłannym rodzeństwie. O tych wszystkich powieściowych postaciach włóczących

się po Dublinie. Tak, zachłanne rodzeństwo odebrało mi *babbo*. Patrząc doktorowi w oczy, chcąc zademonstrować mu swoją śmiałość i pewność siebie, jednocześnie jednak czuję, jak pod futrem, między piersiami sphywa mi wolno kropelka potu.

– Po co tutaj jestem? – Muszę uciec przed jego niekończącymi się pytaniami. Czasu jest coraz mniej. *Dzieło w toku* czeka na ukończenie. *Babbo* potrzebuje mojej pomocy, mojej inspiracji, a ja tkwię uwięziona w Szwajcarii. Jaki tu ze mnie pożytek? Moje stopy zaczynają podskakiwać, ich rozpaczliwe podrygi przywodzą na myśl wyrzuconą na brzeg rybę.

– Jest pani tutaj na prośbę ojca, panno Joyce. Ale ponieważ dotąd nic pani nie mówiła, mamy sporo do nadrobienia. Proszę mi opowiedzieć o Giorgiu. – Doktor Jung splata palce, przygląda mi się i czeka.

Na dźwięk imienia mojego brata robi mi się ciepło na sercu. Przez dziesięć lat Giorgio i ja byliśmy nierozłączni, przypominaliśmy bliźnięta syjamskie. Przyglądam się swoim dłoniom, jakbym wciąż spodziewała się znaleźć jasne ślady na skórze w miejscach, gdzie chwycił mnie za rękę, odciągając od wychudzonych kotów, które chciałam przygarniać, prowadząc po stromych schodach Triestu albo chroniąc przed wypadnięciem z omnibusu. Oczywiście nie ma tam żadnych śladów. Jest tylko lśniący, pomarszczony cień blizny na kciuku. Jednak gdzieś w zakamarkach mojej pamięci czai się coś innego, co właśnie zaczyna dawać o sobie znać. Milczę, czekając, aż nabierze ostrości. Na próżno. Czuję za to tępy narastający ból u nasady czaszki. Przez kilka długich minut pocieram skronie. Cisza zaczyna drżeć i dzwonić mi w uszach, ból przybiera na sile.

Doktor spogląda na okazały, złoty zegarek kieszonkowy, który trzyma na blacie biurka.

– Czas minął, panno Joyce. Chciałbym, aby spisała pani wspomnienia z lat, kiedy mieszkaliście przy Square de Robiac. Czy może to pani dla mnie zrobić?

– Dla pana? Myślałam, że to całe leczenie rozmową jest dla mnie?

– Dla mnie. Żebym mógł pomóc pani – mówi wolno, wyraźnie wypowiadając poszczególne słowa, jakby miał do czynienia z dzieckiem albo osobą opóźnioną w rozwoju. Bierze do ręki zegarek i patrzy na niego wymownie. – Na następne spotkanie proszę przynieść pierwszy rozdział pamiętnika.

– Od czego mam zacząć?

– Ma pani dwadzieścia siedem lat, prawda? – Odkłada zegarek i liczy coś na pulchnych rozczapierzonych palcach. – Powiedziała pani, że pani pierwszą miłością był niejaki pan Beckett, zgadza się? – Kiwa zachęcająco głową. – Proszę zacząć od niego. Czy pamięta pani wasze pierwsze spotkanie?

– Chwileczkę – mówię, przymykając oczy. Wspomnienie wraca do mnie stopniowo, z trudem wyłania się spośród cieni. Z początku niewyraźne... wreszcie jaskrawe i ostre. Czuję zapach ostrzeg, wody perfumowanej, tureckich papierosów i dymu z cygar. Strzelają korki od szampana, grzechocze lód w stalowych wiaderkach, podzwaniają kieliszki. Pamiętam wszystko – oślepiające światło i panujący w restauracji gwar. Spowita w turban głowa Stelli wyglądała jak mała żółta dynia. Pamiętam wilgotne ciepło oddechu Emile'a tuż przy moim uchu, jasne oczy *babbo* wznoszącego toast na moją cześć, słowa jego i mamy. O, tak... wszystkie te słowa. O narodzinach, małżeństwie, o moim talencie i o tym, co ma przynieść jutro. Wydawało mi się wtedy, że życie stoi przede mną otworem, świetlana przyszłość mieniła się możliwościami.

Otwieram oczy. Doktor Jung odsunął już fotel i stoi, postukując niecierpliwie palcami o jego skórzane obicie, jakby wybijał rytm swojemu kieszonkowemu zegarkowi.

– Wiem, od czego zacznę – mówię. Zamierzam rozpocząć od pierwszych pragnień i ambicji, które opanowały moje serce jak żarłoczne chwasty. Bo tak to się zaczęło. Nieważne, co mówią inni, takie właśnie były początki.

I

Listopad 1928

Paryż

– Dwoje geniuszy w jednej rodzinie. Czy będziemy ze sobą rywalizować? – *Babbo* obrócił sygnet z kamieniem na palcu, nie odrywając spojrzenia zaczerwienionych, zaropiałych oczu od szpalt „Paris Timesa”. Patrzył na moje zdjęcie, przypatrywał mu się, jakby mnie nigdy przedtem nie widział. – Jesteś taka piękna, *mia bella bambina*. Twoja matka wyglądała tak samo, kiedy razem uciekliśmy.

– To mój ulubiony fragment, *babbo*. – Wzięłam od niego gazetę i przeczytałam jednym tchem fragment recenzji mojego tanecznego debiutu: – „Kiedy osiągnie pełnię swoich możliwości w tańcu nowoczesnym, James Joyce może jeszcze zasłynąć jako ojciec swojej córki”.

– Jaka żarliwa i czysta jest twoja ambicja, Lucio. Dalszy ciąg mam już wyryty w pamięci. Pozwól. – I zaczął recytować swoim cienkim, piskliwym głosem: – „Lucia Joyce jest nieodrodną córką swojego ojca. Ma entuzjazm Jamesa Joyce’a, energię i nieznaną jeszcze dozę jego geniuszu”. – Umilkł i przytknął dwa poplamione tytoniem palce do świeżo wypomadowanych włosów. – To był zdumiewający występ. Ten rytm i ulotność... Znowu myślałam o tęczach. – Przymknął na chwilę oczy, jakby wspominał ten wieczór. Potem jego powieki gwałtownie się uniosły. – Co jeszcze nieomylny „Paris Times” ma do powiedzenia o moim potomstwie?

– Piszą: „Jej występy uczyniły z niej sławę Théâtre de Champs-Élysées, kolebki tańca awangardowego w Paryżu. Tańczy przez cały dzień; jeśli nie ze swoją trupą, to na lekcjach tańca lub sama. Kiedy nie tańczy, projektuje kostiumy, obmyśla zestawienia kolorów, planuje efekty kolorystyczne. Do tego włada ni mniej, ni więcej, jak czterema językami, jest wysoka, smukła i obdarzona niezwykłym wdziękiem. Ma brązowe, równo obcięte włosy, niebieskie oczy i bardzo jasną cerę. Taki talent!” – Rzuciłam gazetę na sofę i zaczęłam tańczyć po salonie, wirując w zamaszystych obrotach. W moich uszach wciąż rozbrzmiewały brawa, w moich żyłach wciąż wrzała euforia. Podniosłam ręce i obróciłam się jeszcze raz – okrążając doniczkowe paprocie mamy, mijając ukochane portrety przodków *babbo* w złożonych ramach i stopy tomów *Encyklopedii Britanniki*, które służyły za taborety, kiedy jego pochlebcy schodzili się, żeby posłuchać, jak czyta.

– Cały Paryż o mnie czyta, *babbo*. O mnie! Więc... – Umilkłam i pogroziłam mu palcem. – Lepiej uważaj!

Babbo skrzyżował nogi w kostkach i oparł się leniwie na krześle, nie przestając mnie obserwować. Zawsze mnie obserwował.

– Dzisiaj zjemy kolację u Michauda. Będziemy wznosili za ciebie toasty do białego rana, *mia bella bambina*. Zaproś swoją tańczącą amerykańską przyjaciółkę, niech zaszczyci nas swoją obecnością. A ja zaproszę pannę Steyn. – Ponownie dotknął włosów, przyglądając jej z nagłą troską. – I sądzę, że powinnaś zaprosić też tego młodego człowieka, który skomponował muzykę.

– Tak, zaprosimy Emile’a, pana Fernandez! – Serce zabiło mi mocniej. Stałam na podbiciach stóp i okręciłam się raz, drugi, trzeci, a potem opadłam na sofę. Zerknęłam na *babbo*. Czy domyślił się, jak przyspieszył mi puls na wzmiankę o Emile’u? On jednak siedział z przymkniętymi oczami i bawił się wąsem,

naciągając palcami wskazującymi jego końcówki. Ciekawiło mnie, czy rozmyśla o pannie Stelli Steyn, ilustratorce jego książki, czy też zastanawia się, czy pomadować baczki przed pójściem do Michauda.

– Czy w gazecie nie wspomnieli o kompozytorze? Mówisz, że jak on się nazywa? – *Babbo* otworzył oczy i popatrzył na mnie. Jego źrenice pływały za grubymi szklami binokli jak czarne kijanki w słoju z mlekiem.

– Emile Fernandez – powtórzyłam. Czy wychyci niecodzienną miękkość w moim głosie? Podczas przygotowań do premiery Emile i ja polubiliśmy się i nie byłam pewna, jak *babbo* na to zareaguje. Zawsze był bardzo zaborczy, gdy chodziło o mnie. Razem z mamą stale mrucze o tym, co by na to powiedziano w Irlandii. Kiedy protestowałam, że teraz jesteśmy w Paryżu i poza mną wszystkie tancerki mają setki kochanków, *babbo* wzdychał głęboko, a mama powtarzała półgłosem:

– Ladacznice, za grosz wstydu!

– Zatelefonuję do panny Steyn, a ty możesz zatelefonować do pana Fernandeza i zaprosić tę swoją uroczą przyjaciółkę tancerkę, której imię wciąż mi umyka. – Uniósł rękę do szyi i ostrożnie poprawił zmarszczoną muchę.

– Kitten – powiedziałam. A potem przypomniało mi się, że mama i *babbo* uparcie nazywają ją panną Neel. – No wiesz, panna Neel! Jak mogłeś zapomnieć, jak ma na imię? Od lat jest moją najlepszą przyjaciółką.

– Kitten. Kocię co psoci pośród łakoci zwiedzione przez koty do większej psoty... – Umilkł, grzebiąc w kieszeni aksamitnej marynarki w poszukiwaniu papierosa. Usłyszeliśmy ciężkie kroki matki na schodach. – Myślę, że lepiej na tym wyjdziemy, jeśli nie będziemy ciągle czytali matce recenzji z twojego debiutu. – Umilkł

i znowu przymknął oczy. – Wiesz, to jej dziwactwo... – Ostrożnie umieścił w ustach papierosa i znowu sięgnął do kieszeni. – Zrób mi przyjemność ostatnim piruetem, *mia bella bambina*.

Obróciłam się trzykrotnie najszybciej, jak umiałam. Mama nie lubiła, jak tańczę w salonie, a nie chciałam, żeby jej gniewne uwagi popsuły mi nastrój.

Wpadła do salonu z naręczem paczek. Jej szeroka pierś falowała po wspinaczce na piąte piętro. *Babbo* otworzył oczy, zamrugał i oznajmił, że idziemy do Michauda „na tycią uroczystość”.

– Znaczą się, przyślą pieniądze? – Widziałam, że rozgląda się po pokoju, sprawdzając, czy nie poprzestawiałam mebli, jak to czasem robiłam, gdy pod jej nieobecność *babbo* prosił mnie, żebym dla niego zatańczyła.

– Nie, mój górski kwiecie. – Umilkł, żeby przypalić papierosa. – To coś lepszego niż pieniądze. Lucia jest ulubienicą całego Paryża i musimy to uczcić. Dziś wieczorem będziemy pili i się nią chlębili.

Mama stała, wciąż trzymając wszystkie pakunki. Tylko jej oczy się poruszały pod zmrużonymi powiekami.

– Znowu te twoje tańce, Lucio? Wiesz przecie, jak mnie to męczy. Do grobu mnie wpędzisz. Nic, tylko te twoje tańce, ta winda, co nigdy nie działa i te schody, co po nich trza w kółko ganiać...

Wyczułam, że atmosfera gęstnieje, ale byłam przyzwyczajona do cierpiętniczych utyskiwań mamy. Kiedy odwracała głowę, *babbo* rzucał mi konspiracyjne spojrzenia i puszczał oko. Więc nie zważając na to zrzęczenie, podałam jej gazetę. – Będę sławną tancerką, mamó. Przeczytaj to.

– Przeczytam, Lucio, tylko wpierw odpakuję sprawunki i napiję się herbaty. Patrz na te rękawiczki, Jim. – Rzuciła paczki na sofę,

wyjęła spośród nich białe lśniące pudełko i zaczęła rozwijać zwoje czarnej bibułki. Nagle wydało mi się, że w pokoju powiało chłodem, jakby za sprawą niespodziewanego przeciągu. Odłożyłam gazetę na sofę i objęłam się ramionami. Czy nie mogłaby ucieńczyć się z mojego sukcesu – choćby ten jeden raz?

Babbo puścił do mnie oko i wydmuchał długą smugę dymu.

– To istotnie piękne rękawiczki. I nigdzie nie będą się prezentowały tak elegancko, jak na dłoni trzymającej kieliszek najbardziej upajającego szampana u Michauda. – Wskazał na leżącą na sofie gazetę. – Przeczytaj, *Noro*. Piszą o ogromnym talencie naszej *bella bambina*. Co przywodzi mi na myśl przysłowie o jabłku padającym niedaleko od jabłoni.

– Najświętsza Panienko, jak te cwaniaki, co się dorwały do słoja z łakociami. – Westchnęła, spoglądając na nowy zakup. – Trudno, i tak mi się nie chce gotować, a u Michauda przynajmniej będą podziwiali moje rękawiczki. – Prychnęła i sięgnęła po „*Paris Times*”. – To *Giorgio* powinien być w gazecie. Czemu nie piszą o naszym *Giorgiu*? – Stuknęła palcem w papier.

– Jeszcze będą o nim pisali, *Noro*. Będą. Może *Lucia* miała jakiś proroczy sen lub wizję o *Giorgiu*? – *Babbo* popatrzył na mnie wyczekująco, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, mama dorzuciła serię zjadliwych uwag o „durnych znakach” i „nawiedzonych wrózkach”.

– Na *Giorgia* też przyjdzie czas. Dziś jest święto mojej tęczowej dziewczynki. – Patrzyłam, jak wypuszczone przez *babbo* kółko z dymu unosi się niepewnie, a potem rozwiewa i znika w powietrzu.

– Co znowu za jedne te tęczowe dziewczyny? Tylko nie opowiadaj, że widzą przyszłość. – Mama naciągnęła na dłonie swoje nowe rękawiczki.

– Z mojej książki... Figlalej całą rozgrają się fikołkują... Oto kwiaty... Nie zaprzataj tym niezłomnej, nieprzystępnej swej głowy. – *Babbo* skierował spojrzenie na sufit i westchnął.

– Nie możesz napisać jakiejś normalnej książki, Jim? Czuję, że to będzie gwóźdź do mojej trumny. – Wyciągnęła niechętnie dłoń w rękawicze po „Paris Times”. – Ubierz się kolorowo, Lucio. Stella Steyn nie może nas dzisiaj przyćmić. Mówiłeś, że która strona?

* * *

Główny kelner natychmiast rzucił się w naszą stronę, torując sobie drogę przez ciżbę. Mężczyźni wciąż zatrzymywali *babbo*, żeby go pozdrowić lub zapytać o *Dzieło w toku*. Tylko mamie zdradził prawdziwy tytuł książki, nad którą pracuje. Musiała przysiąc, że dochowa tajemnicy.

Gdy rodzice witali się z zaproszonymi gośćmi, za moimi plecami pojawił się Giorgio.

– Przepraszam za spóźnienie – wydyszał. – Tramwaj nie przyjeżdżał godzinami. Widziałem gazetę. Wspaniała recenzja. – Przyciągnął mnie do siebie i pocałował w skroń. – Ależ mam zdolną siostrzyczkę! Mam nadzieję, że szybko zrobisz fortunę i opłacisz moje lekcje śpiewu. – Skrzywił się przelotnie i odwrócił głowę.

– Oby – odparłam skromnie. – Lekcje śpiewu nie idą najlepiej?

– Nie dość dobrze, żeby ojciec był zadowolony. – Giorgio dotknął wykrochmalonego kołnierzyka koszuli. Zauważyłam, że pod oczami ma lawendowe cienie. Jego oddech czuć było alkoholem. – Codziennie muszę go prosić o pieniądze, a on zawsze patrzy na mnie jak nienakarmiony pies. Potem wzdycha z tym swoim rozczarowaniem.

Dotknęłam współczująco jego ramienia. Okropnie było patrzeć na jego zniechęcenie, poza tym nigdy dotąd nie czułam od niego alkoholu.

– Kiedy zacznę zarabiać, będę mogła ci pomóc.

Ale Giorgio nie odpowiedział.

– Pamiętasz państwa Przytulińskich? – zapytał.

Roześmiałam się.

– Naszych wymyślonych rodziców?

Na jego twarzy odmalowała się nostalgia.

– Śnili mi się ostatnio. Nareszcie przyszli nas adoptować i pan Przytuliński nauczył mnie jeździć konno.

– Trochę już chyba późno na wymyślonych rodziców. – Obejrzałam się na mamę i *babbo*, którzy lawirowali w zatłoczonej sali, pośród czarno-białych kelnerów.

– Kiedy byliśmy mali, matki i ojca nigdy przy nas nie było. A teraz, chociaż jesteśmy dorośli, nie chcą nas zostawić w spokoju. Państwo Przytulińscy by tacy nie byli, prawda?

– Nie, ale oni nie byli prawdziwi – odparłam, wzruszając ramionami. Nie chciałam myśleć o przeszłości. Już miałam mu wypomnieć, że dla mamy jest chodzącym ideałem, ale nie zdążyłam.

– Och, patrz, wszyscy już są – powiedział, wskazując stolik przy oknie.

Przy stole zastawionym lśniącoymi sztućcami i kieliszkami siedzieli Stella, Emile i Kitten, wszyscy w radosnym nastroju. Na widok uśmiechniętej promiennie twarzy Emile’a poczułam lekkie trzepotanie w piersi. Jego ciemne wypomadowane włosy błyszczały w świetle żyrandola, w butonierce miał pomarańczową lilię. Pomachał do mnie, rozsiewając tęczowe błyski diamentową spinką przy mankiecie. Stella siedziała obok niego, ubrana w jedwab w głębokim, pawim kolorze. Z jej

szyi spływały aż do pasa trzy skręcone sznury bursztynów, na głowie miała cytrynowożółty turban wykończony frędzlami tańczącymi nad linią brwi. *Babbo*, który zjawił się bezszelestnie za nami, przyjrzał jej się badawczo niczym botanik nieznannej odmianie orchidei.

– Gdybym mogła się tak ubierać! – westchnęłam do Kitten, kiedy przyciskała usta do moich zimnych policzków. Zazdrościłam Stelli odwagi i artystycznej nonszalancji. Moje ubrania wybierała i kupowała mama. Zawsze były eleganckie i dobrze skrojone, ale brakowało im ekstrawagancji strojów Stelli.

– Po takim debiucie i recenzji nie musisz się martwić o stroje, kochanie. Zazdroszczę ci. Tak czy owak, nie widziałas jeszcze wszystkiego. Do tego założyła szarawary z frędzlami! Jakie to musi być niepraktyczne w czasie deszczu! – Kitten ścisnęła z czułością moją dłoń i dodała: – Giorgio wydaje się dzisiaj jakiś mniej bez troski niż zwykle...

Pochyliłam się.

– Martwi się o pieniądze – powiedziałam półgłosem. – Chyba zbrzydło mu życie na łasce mecenasów *babbo*.

– Kiedy książka waszego ojca zacznie się sprzedawać w Ameryce, wszystko się ułoży. Ale dlaczego on tak się gapi na Stellę?

– Stella ilustruje jego książkę. Możesz być spokojna, że *babbo* myśli teraz o książce. – Spuściłam wzrok i dodałam szeptem: – Pewnie się zastanawia, jak ją opisać po flamandzku, łacinie albo rymowanymi kalamburami.

Usiadłam na ławie obok Emile’a tak blisko, że czułam ciepło jego silnego ciała. Salę wypełniały rozmowy, śmiechy, pobrząkanie bransoletek i naszyjników, szuranie krzesel, brzęk talerzy i szklanek, szcęk noży i widelców. W mojej głowie wszystko to zlewało się w porywający i elektryzujący aplauz po występie.

Babbo zamówił szampana i ostrygi w lodzie, a gdy tylko napelniono nasze kieliszki, odsunął się od stołu i wstał, przytrzymując się blatu kościstą dłonią.

– Za Lucie! Tancerkę, poliglotkę, artystkę!

– O jasnej cerze i błękitnych oczach – dodała mama i uniosła kieliszek, prostując się i kierując twarz w stronę żyrandola. Nagle przyszło mi do głowy, że jest o mnie zazdrosna. To była przelotna, niedorzeczna myśl, a jednak to właśnie wyczytałam z ułożenia jej szyi. Jakby chciała dać wszystkim do zrozumienia, że wygląd odziedziczyła po niej. Nagle zdałam sobie sprawę, że *babbo* coraz rzadziej spogląda na nią pożądliwie, coraz rzadziej wsłuchuje się z właściwym sobie skupieniem w brzmienie jej głosu. Wszystko to było teraz zarezerwowane dla mnie. Spojrzałam na niego ponad stołem: trzymał kieliszek w górze i zerknął, mrugając, to do mnie, to do Stelli.

Tymczasem w naszych kieliszkach musował szampan, nad stołem unosił się słony, zielonkawy zapach ostryg, od sąsiednich stolików docierały obłoki dymu z cygar innych gości, którzy uśmiechali się do mnie i klaskali w dłonie. Udo Emile’a przylegało do mojego mocno i pewnie. W tamtej chwili miałam wrażenie, że już zawsze będę szczęśliwa i że nikt nie może być szczęśliwszy ode mnie. Pochyliłam się w stronę Emile’a i ukradkiem położyłam mu rękę na nodze.

– Gdzie zatańczysz następnym razem, Lucio? Czy Josephine Baker będzie musiała ustąpić ci sceny? – Stella poprawiła turban, po czym nabiła na widelec ostrygę i zgrabnym ruchem włożyła ją sobie do ust.

– Niezła sztuka ta cała Baker. Wywijając nago w kiecce z bananów. Co za wstyd! – Mama uniosła serwetkę i strząsnęła ją, jakby chciała uciąć wszelką dyskusję o Josephine Baker, tancerce, która szturmem podbijała Paryż.

– Mówią, że zarabia fortunę – powiedział Giorgio, muskając górną wargę koniuszkiem języka. – Słyszałem, że ostatnio zamieniła bananową spódniczkę na różowe piórko.

– Ma na sobie jedynie piórko? – Kitten otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Zdzira, ot co – powiedziała mama. Jej nozdrza zafalowały z pogardą.

– Raczej nowoczesna młoda kobieta, która sama się utrzymuje. Ja tam uważam, że to bardzo dobrze. – Stella uniosła kieliszek szampana, ale szybko go opuściła, widząc gniewne spojrzenie mamy.

– Miała już dwóch mężów i mówią, że teraz ma kochanka. To ma być dama, pytam się?

– To dlatego może tańczyć na scenie ubrana tylko w piórko. Gdyby nie była mężatką, to byłoby zabronione – powiedziała cicho Kitten. – Papa mówi, że małżeństwo to jedyna droga kobiety do wolności, nawet w dzisiejszych czasach, nawet w Paryżu. Wszystkie te nowoczesne dziewczyny, te chłopczyce – papa mówi, że tak naprawdę wcale nie są wolne.

– Cholernie wyzwalające: tańczyć nago – prychnął Giorgio i zgniótł papierosa. – Szczególnie, kiedy zbijasz na tym fortunę. Nie można być bardziej wolnym.

– Nonsens! – wykrzyknęła Stella z płonącym wzrokiem, dźgając widelcem powietrze. – Teraz kobiety mają szansę na prawdziwą wolność. Pomyślcie, ile kobiet w Paryżu maluje, tańczy i pisze. Nie wszystkie są zamężne.

– Brawo, Stello! – zawołałam, klaszcząc. Stella miała „język na swoim miejscu”, jak mawiała mama. To była jeszcze jedna z cech, które tak bardzo u niej podziwiałam, kolejny przedmiot mojej zazdrości. Już miałam powiedzieć coś o własnym doświadczeniu

wolności – o zatraceniu się w ruchu, o tym, jak wyzwalający może być taniec, niezależnie od tego, czy jest się bogatym, czy biednym, nagim czy ubranym. Giorgio nie dopuścił mnie jednak do głosu.

– Mówią, że ona otrzymuje setki propozycji małżeństwa tygodniowo. Może i ja powinienem jej się oświadczyć? Co ty na to, Emile'u? – zapytał, poklepując go po ramieniu.

– Zgadzam się z Kitten. Małżeństwo to skała, na której zbudowane jest nasze społeczeństwo, i jedyna droga do wolności dla każdego z nas. My, Żydzi, tak uważamy. Fundament wszystkiego. Ale nie jestem pewien, czy dotyczy to również małżeństwa z panną Baker. – Emile odnalazł moją dłoń pod osłoną obrusa i mówiąc, głośkała ją kciukiem. – A co pan o tym sądzi, panie Joyce?

Kątem oka zauważyłam, że mama z wzrokiem utkwionym w kieliszku szampana wierci się na krześle. *Babbo* przesunął w roz-targnieniu palcami po brodzie, głaszcząc swój zarost.

– Małżeństwo, religia... konwencje i instytucje. Kajdany, które należy odrzucić – powiedział, wpatrzony w talerz pełen muszli po ostrygach.

– Nie słuchajcie Jima. Co on może wiedzieć o kajdanach. – Mama wydała z siebie urywane westchnienie, jakby gdzieś w pół drogi irytacja zaparła jej dech. Zerknęłam pytająco na Giorgia, ale był zajęty szukaniem zapalniczki. Z jego dolnej wargi zwisał niezapalony papieros.

– Wolność kobiet i instytucja małżeństwa są nie do pogodzenia. Ale nie sposób podawać w wątpliwość roli rodziny. Weźmy choćby was, Joyce'ów. – Stella zatoczyła ręką łuk ponad stołem, upstrzonym teraz okruchami chleba, popiołem z papierosów i na wpół opróżnionymi kieliszkami. – Jesteście małżeństwem od tylu lat, oddani Lucii i Giorgiowi. Czy wasze dzieci byłyby takie mądre, tak utalentowane, gdybyście kiedyś się nie pobraли?

– Bylibyśmy bękartami w rynsztoku – skwitował Giorgio, zasłaniając pięścią przeciągłe ziewnięcie i puszczając do mnie oko. – A tak jesteśmy wschodzącymi gwiazdami paryskiej sceny, prawda, Lucio?

– Po mojemu to tę całą Josephine Baker powinni zamknąć. W Irlandii jak nic by siedziała. – Mama odsunęła kieliszek i surowo potrząsnęła głową.

– Podobnie jak ja, Noro. Podobnie jak ja – mruknął *babbo* wprost w węzeł swojego krawata tak cicho, że tylko ja go usłyszałam. Zaraz potem Emile zerwał się na nogi, wołając:

– Dość gadania o rynsztokach i więzieniach. Wzniesmy kolejny toast za piękną i utalentowaną Lucię! – Uniósł kieliszek i wszyscy znowu wykrzyknęli moje imię.

I wtedy właśnie za oknem zobaczyłam jego. Stał na ulicy, zaglądając ukradkiem do środka, z nosem niemal przy samej szybie. Miał błyszczące, zaciekawione oczy, zdawało się, że patrzy na *babbo*, ale potem skierował wzrok na mnie. I w ułamku sekundy wydarzyło się coś niezwykłego. W chwili, gdy nasze spojrzenia się spotkały, przepłynął między nami prąd. Moje serce podskoczyło gwałtownie. Potem on spuścił głowę i oddalił się, zgarbiony, bulwarem. Emile usiadł z powrotem na ławie, przyciskając nogę do mojej.

– Na co ona tak patrzy? Lucio... Lucio... Pijemy za twoje zdrowie, a ty się gapisz przez okno jak pomyłona – utyskiwała mama, przewracając oczami.

Babbo zmarszczył czoło, odstawił kieliszek z szampanem i uniósł dłoń.

– *Ćśśś*, Noro. Ma wizję. Słuchajcie mojej Kasandry!

– Ktoś mi się przyglądał przez okno – powiedziałam oszołomiona i zdumiona osobliwością tego doświadczenia, intensywnością

spojrzenia nieznanego i nagłym trzepotaniem własnego serca. Machnęłam lekceważąco ręką i odwróciłam się do Emile'a, w nadziei, że powstrzyma *babbo* przed rozwijaniem wątku Kasandry.

– To z pewnością jeden z twoich wielbicieli – odparła ze śmiechem Kitten i ścisnęła moje przedramię. – Rozpoznał cię, bo widział twoje zdjęcie w gazecie.

– Cena sławy. Znam to aż nazbyt dobrze. – *Babbo* rozejrzał się wśród obecnych, błyskając okularami. – Będziesz musiała jakoś to znieść, Lucio. Przed restauracją bez wątpienia ustawi się kolejka po twój autograf.

Czy on tam będzie? Mężczyzna o żywych, ptasich oczach, haczykowatym nosie i kościach policzkowych niczym noże do ryb? Nie. Rozpłynął się w mroku. Tymczasem przy stole wszyscy śmiali się z dowcipu *babbo*. Wszyscy oprócz Emile'a, którego usta znajdowały się tak blisko mojego ucha, że słyszałam cichutkie mlaskanie towarzyszące jego słowom:

– Zobaczysz, będziesz miała tłumy wielbicieli! Zobaczysz!

A potem *babbo* zaczął się rozwodzić nad niekwestionowanym związkiem między tańcem a darem jasnowidzenia. Na poparcie swej tezy przytoczył przykład pewnego mało znanego afrykańskiego plemienia, w którym tańczono, dopóki tancerzom nie objawiła się przyszłość. Wiedziałam, że *babbo* patrzy na mnie, ale nie mogłam się skupić na jego słowach.

– I pewnością też byli na wpół nadzy – powiedziała mama chłodno i piskliwie. Wszyscy znowu się roześmiali.

Ale ja nie mogłam przestać myśleć o mężczyźnie, który przyglądał mi się przez okno. Ogarniał mnie przy tym dziwny niepokój, jakby głęboko w moim wnętrzu coś się wykluwało.

I teraz, gdy patrzę wstecz z tego miejsca w Alpach, gdzie powietrze jest ostre i przenikliwe, wiem, że miałam rację. Choć

wówczas myślałam o tym z niedowierzaniem, istotnie coś się we mnie rodziło i rozwijało – nisko, w okolicach splotu słonecznego. Tam właśnie się to zaczęło.